

ROZWAŻANIA NA TEMAT BŁOGOSŁAWIEŃSTW

1

Kiedy snuję rozważania na temat słowa Bożego, czynię to w oparciu o infrastrukturę, jaką jest modlitwa. Wydaje mi się, że nawet w tej chwili (być może to, co teraz mówię, zostanie opublikowane) bardziej jestem pogrążony w modlitwie niż w myślach. Ma to swoje konsekwencje. Jedną z nich dostrzegam już teraz: piszę jako człowiek wolny wolnością, która nie byłaby możliwa, gdyby chodziło o zwykłą refleksję; w modlitwie dokładnie dobrane słowo, rygory syntaktyczne, metoda, schemat, nie są tak ważne. Ta wolność stanowi jednak niebezpieczeństwo, albowiem sprawia, że zagłębam się w tematy odbiegające od tytułu. Teraz na przykład miałbym ochotę zająć się rozważaniem gramatycznych wymogów modlitwy. Muszę więc porzucić wszelkie inne wątki i skierować refleksje na właściwą drogę.

Kiedy byłem dzieckiem, lubiłem przyglądać się, jak nawadniano pola: od głównego rowka odchodziły prostopadle inne. Rolnik „ucinał” motyką strumyk wody, zmieniając jej kierunek, a każde takie cięcie było jak „kropka i nowy akapit”

2

Żałuję, że będąc w szkole średniej nie trzymałem pod ręką tekstu zawierającego Błogosławieństwa. Wtedy miał miejsce mój pierwszy z nimi kontakt. Wspominam o tym niechętnie i bez nostalgii: Osiem Błogosławieństw to coś równie trudnego do nauczenia jak uczynki miłosierne. Te ostatnie — których było czternaście — były jednak łatwiejsze do zapamiętania, albowiem „udziel schronienia pielgrzymowi” („bezdomnego w dom przyjmij”) brzmiało bardziej swojsko niż „błogosławieni cisi..., którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni”. Z tamtego okresu zapamiętałem jedynie intonację; Błogosławieństwa były monotonnym szmerem, kołysanką, z której została mi w pamięci tylko melodia. Myślę, że duch wybrał właśnie muzykę, aby dotrzeć do najmłodszych poprzez kołysanki, śpiew chóralny, śpiewany katechizm.

3

Potem przyszedł czas rozumu. Rozum był wynikiem dzielenia z kimś czegoś żywego: serca (przyp. tłum.: gra słów *co-razón* = = współrozum, *corazón* = serce). Wszystkiego tego — podobnie jak i całej reszty — nauczyłem się od mego ojca. Mój ojciec to coś w rodzaju pieśczęoty ze strony Ojca. Myślę, że jest tylko jeden (o/O)jciec.

Mój ojciec hołubił w myślach słowa *Kazania na Górze* w czasach, kiedy panował niepisany, praktyczny zakaz głoszenia Ewangelii. Nie podchodził do tekstu z nadmiernym nabożeństwem. Przeżywał błogosławieństwa w utopijnym wymiarze, o którym będzie mowa dalej.

„Głośno i wyraźnie” (używam tego określenia świadomy tego, iż odnosi się on do głosu; świadomy, że jest ono parodią pewnego zdania; świadomy tego, że była to parodia wyrażająca czułość i szacunek do przedmiotu parodiowanego; świadomy tego, że ironia tak, ale sarkazm nie, że miłość tak, że... Byliśmy obaj na tyle świadomi, że nie musieliśmy z góry uściślać kontekstu! Syn wiedział to samo, co wiedział ojciec) czytaliśmy razem *Kazanie na Górze*, przeżywając krótkie okresy słodkiego natchnienia, będące czymś więcej niż chwilą ciszy z zapalonym papierosem i czymś mniej niż lewitacja czy zwieńczona aureolą ekstaza. Czasami czytaliśmy razem parlamentarne przemówienia spierających się Castelara i Manteroli. I kiedy słyszałem Castelara wypowiadającego słowa „...Kazanie na Górze...”, czułem wewnętrzną radość, wówczas jeszcze nieświadomioną, której przyczyna jest oczywista: była to radość wywołana pewnością, że nawet Castelar, choć tak daleki, należał do tłumu, na oczach którego Jezus wszedł na górę i nauczał.

Od tamtego czasu aż do dziś Błogosławieństwa z Góry stanowiły niezbędną i ostateczną instancję, jaką jest prosta uniwersalność czasoprzestrzenna Jezusa. W Kościele próbujemy czasem (albo cierpimy dlatego, że inni próbują) odgrodzić się od atmosfery tłumu nauczanego przez Jezusa. Czuje się wtedy, jak prosta katolickość Jezusa zostaje zraniona, podzielona przy pomocy barier i płotów. Odczuwasz radość, jeśli możliwy jest powrót do tłumu, jeśli możesz zbliżyć się pośród powszechnego zasłuchania i przekonać się, że łąki na stokach Góry nie zostały ogrodzone. Kazanie daje ulgę i pogłębia naszą zanikającą katolickość.

4

U ust najbardziej dobrotliwego spośród przyjaciół mojego ojca, człowieka inteligentnego, wychowanego poza Kościołem, usłyszałem pierwszą logiczną interpretację Błogosławieństw. Miałem wówczas 17 lat. Usłyszane oskarżenie o brak logiki i o to, że Błogosławieństwa są niekiedy niesprawiedliwe, sprawiło, że poczułem się zagubiony i rozdarty. Promowanie łagodnych, ubogich i smutnych miałyby, według tej interpretacji, oznaczać koniec współczesnej cywilizacji i koniec ludzkiego szczęścia.

Ktoś we mnie, w środku, sprawił, że poczucie to zanikło. Nie dlatego, że to, co ciemne, zostało oświetlone, a to, co rozdarte — zostało poskładane, lecz po prostu dzięki uznaniu tego, co ciemne, za część tajemnicy, a tego, co rozdarte — za część rzeczywistości współistniejącej i harmonijnej. Wróciłem właśnie z Mszy św.; piszę te słowa w niedzielę 26 września. W Ewangelii mowa była o człowieku, który za osiem godzin pracy otrzymał tyle samo co ten, kto pracował jedną godzinę. To nielogiczne i niesprawiedliwe; ale wrażenie zakłopotania znika całkowicie w obliczu innego faktu, o wiele bardziej radykalnego: to, co nielogiczne, niesprawiedliwe (tak samo jak chlorofil czy kinematografia) to nie są kategorie w jakiś szczególny sposób związane z Jezusem z punktu widzenia obecności Błogosławieństw lub też ich braku.

Jest taka znana fotografia twarzy Nietzschego z długimi wąsami i nastroszonymi włosami. Od kilku już lat właśnie takim wyobrażam sobie Nietzschego, tyle tylko, że z głową (zmęczoną) leżącą na piersi Ojca.

5

Dziś Błogosławieństwa są Utopią. Niedoścignionym lotem, ale jednocześnie aniołem, który przysiadł obok mnie. Piszę, słowo „utopia” tak, jak gdybym pisał słowa Północ, Prawda, moje imię albo Świętość. Jej realizacja byłaby czymś absurdalnym i potwornym; jednakże jej zanegowanie oznaczałoby unicestwiający zamęt i rozpacz, życie bez chwili, która nastąpi, którą można wybrać; życie nieeleganckie.

Nie da się dojść do Bieguna Północnego, ale on istnieje, jest tutaj, w odległości jednego kroku. Nie osiągamy Prawdy, ale ona wytyka mi kłamstwo, jeśli nie przyczyniam się do jej pogłębiania w każdym nieskończonym przeżyciu. Nie jestem jeszcze własnym imieniem, ale djeciec stworzył mnie, nazywając mnie Luis. Nikt nie jest dobry z wyjątkiem Boga, ale „bądźcie doskonali jak doskonały jest mój Ojciec”.

Pisząc „Błogosławieństwa to Utopia” (przez duże U), chcę wyrazić coś, czego nie wyrażam. Każde słowo jest utopią; nawet zredukowane do swej funkcji gramatyczno-semantycznej nie będzie oznaczać w pełni tego, co definiuje słownik.

O Błogosławieństwach pragnę powiedzieć tyle, że wśród utopii, pomiędzy którymi się poruszamy i żyjemy, umieszczając nad nimi korony a pod nimi fundamenty, znajduje się Słowo Jezusa, a On z kolei jest Słowem Bożym. Słowo Jezusa — zawsze w wymiarze utopijnym — wyraża pewną Utopię formalną w Błogosławieństwach z Góry.

Jeśli powyższy akapit zawiera to, co chciałem powiedzieć, to zostało to już powiedziane. W tym miejscu jest to jednak nieistotne, tak jak nieistotne byłoby tu cytowanie „dzień dobry”, jakim powitałem dziś rano mojego sąsiada.

W rzeczywistości istotne jest to, by przekazać pewną refleksję na temat Błogosławieństw. Mają one naturę modlitwy, stanowią modlitwę publiczną. Myślę, że Kościół potrzebuje — ja potrzebuję — w równym stopniu publicznej co wspólnotowej konstatacji faktu, jakim są modlitwy indywidualne. Światłem świata są świadectwa, przede wszystkim świadectwo czynienia dobra. Dziś, ze względu na okoliczności, potrzebne jest świadectwo modlitwy, która ma polegać nie na prawidłowym zmówieniu pacierza, lecz na bezwstydnym prostocie pocałunku złożonego Bogu i przyzwoleniu, by On nas pocałował..

Wbrew temu, co można by sądzić, „tu” i „teraz” są słowami geometrycznymi, będącymi zupełną utopią, tak jak całkowicie utopijny jest trójkąt równoboczny. Z kolei „dziś” jest słowem zarazonym utopią przez ukąszenie „jutra”, a „jutro” jest jednym z najpiękniejszych słów, jedną z najpiękniejszych utopii naszego życia.

Skąły nie są utopią; utopią jest to, co żyje, i to, co jest przez życie kąsane. O ile sobie przypominam, Goethe malował życie przy pomocy barw zielonych, a teorię — przy pomocy szarych. Ale nie, teoria jest również zielona, bo jest wyrazem życia, jest jego sokiem: dla opisanía niedawno odkrytych praw fizycznych używa się takich określeń, jak „maksymalne prawdopodobieństwo zdarzenia..”, „rezonans struktur możliwych...”.

Życie wie, że istnieje Prawo i że nie pojawił się nikt, kto mógłby je obalić. Ale wie również, że Prawo zostało zapisane na kamieniu; kamień, kruszony przez życie, pragnie rozpaść się w ziemi, a ziemia, kąsana przez życie, pragnie przemienić się w pędy i łodygi i wznieść się ku światłu i lekkości; zieleń pragnie ruchu, lotu, wędrowania, przechodzenia, jednym słowem nieba, tego miejsca, dokąd się idzie, kiedy się żyje; tej utopii.

Życie jest wędrowaniem. Kiedy wędrowka zostanie zakończona, to wszystko dojdzie już do celu, nastąpi śmierć, a entropia osiągnie swe maksimum. Po to, by można było wędrować, życie wynalazło przeciwieństwo entropowej śmierci: gradient. Tak powstaje ruch kosmiczny od bieguna, na którym ma miejsce początek pragnienia, do bieguna na którym to pragnienie ma się spełnić (życie wyklucza oba bieguny i ogranicza się do ruchu). To życie wymyśliło, że elektrony nigdy nie docierają do celu i to życie podtrzymuje w nich wieczne pragnienie dotarcia do swych biegunów; wymyśliło wieczne jony poruszające się z prędkością światła, wiecznie oszukiwane, albowiem ich cel oddala się 50 razy na sekundę, umożliwiając tym samym rozwój techniki, z której dziś korzystamy.

Jezus pozostawił taki gradient w naszym sercu (nazwijmy go „pragnieniem”, co będzie dla niego najbardziej wyrazistą nazwą). Pozostawił pragnienie, aby pobudzić strumień płynący od Luisa, którym jesteśmy, do Luisa, przy pomocy którego On określa i nazywa nas Błogosławionymi. Owe wędrowki, moja i innych ludzi, pozostawiają za sobą smugę i to ona stanowi historię radykalną. Poza nią znajdują się dwa bieguny: stworzenie (kiedy człowiek jest jedną wielką utopią, która ma być realizowana) i Słowo Boże (kiedy człowiek jest jedną wielką utopią już zrealizowaną¹), Jezus, wyjątkowa instancja, dla której realizacja utopii nie jest ani absurdalna, ani straszna. Transcendencja obu biegunowych skrajności gwarantuje bezinteresowną i absolutną immanencję owego wędrowania, które nosi nazwę życia i którego radykalna historia opisuje proces rozumienia Błogosławieństw i ich skutki.

Kazanie na Górze jest dziś dla mnie Utopią.

Albo, wyrażając to ładniej: jest jutrem mojego dziś.

Albo, wyrażając to ściślej i jeszcze ładniej: jest Nadzieją.

6

W moim skromnym otoczeniu (mieszkam na małej wyspie; mam 57 lat) żyją ludzie bardzo do mnie podobni. Dlatego sądzę, że oni również żyją nadzieją przeżywania *Kazania na Górze* i że dla nich, tak jak dla mnie, *Kazanie na Górze* jest Chrześcijańską Nadzieją.

W szerszym kontekście rzecz ujmując, obserwuję, jak wiele dyskutuje się na temat pokoju i jak się go docenia; widzę, jak postępuje proces uprawomocnienia „cichych” choćby dzięki ustawie dotyczącej „konfliktów sumienia” (chodzi o odmowę pełnienia

¹ Por. Carlos Díaz, *Contra Prometeo*, Madryt 1980, s. 149.

służby wojskowej ze względów religijnych). To też jest nadzieja, choć wykracza ona poza sferę osobistą (nie kościelną) tych refleksji. Obawiam się, że upłynie jeszcze sporo czasu, zanim doczekamy się refleksji Kościoła na temat wojny (nie na temat pokoju, lecz właśnie wojny). Ale w końcu doczekamy się, bowiem w Kościele czuje się tchnienie Ducha, echo głosu, który nauczał z wysokości Góry. Wierzę, że tak jest, i kończę te rozważania dziękując za to, że wiara ta stała się moim udziałem.

tłum. **Grzegorz Ostrowski**